Anna Karwatówna

Kachna

Obrazek Ludowy w 3ch Aktach.



W. H. SAJEWSKI
1017 Milwaukee Ave.
Chicago, Ill.

KACHNA

Obrazek ludowy w 3 aktach.

Napisała
z Bardzkich Anna Karwatowa.

W. H. SAJEWSKI
1017 Milwaukee Ave.
Chicago, Ill.

OSOBY:

Jakób, włościanin.
Kachna, jego córka.
Stanisław, włościanin.
Jan, syn jego.
Rózia.
Dorota, stara wieśniaczka.
Franek.
Mosiek.

Włościanie i włościanki. — Żyd muzykant.

Rzecz dzieje się w wiosce włościańskiej.

AKT I.

Izba Jakóba; obrazki na ścianie, zegar, stół pod oknem, kilka stołków, szafa za szkłem z talerzami i kubkami. Po prawej stronie okno, po lewej i środkiem drzwi.

SCENA I.

Dorota i Rózia wchodzą środkiem.

Dorota.
A co, Róziu, ładna Kachna?

Rózia z przekąsem.
Dziś się wystroiła, to i ładna.

Dorota.
Ładna, bo dobra! Czy nie wiesz, Róziu, że cnota jaśnieje z twarzy człowieka, a dusza jak w lustrze odzwierciadla się w oczach ludzkich? Piękna szata niczem, — ustrój kij, to jednak kijem zostanie; wsadź kozie złotą koronę, ona ci jednak nie zaśpiewa, tylko zabeczy.

Rózia.

Prawdę mówicie, Doroto, ale szata zawsze przystroi; dlatego też Kachna lepiej się teraz ubiera, bo chce się przypodobać Jasiowi, zresztą lubi się też stroić.

Dorota.

Chociażby Kachna i w łachmanach chodziła, to Jan powinien wiedzieć, że pod tą ubogą szatą kryje się perła drogocenna! Mylisz się, Róziu, Kachna nie lubi się stroić, jej suknia zawsze skromna ale czysta, jak jej sumienie. — Dzisiejsza szata, to podarek od ojca na zaręczyny jedynej i ukochanej Kachny.

Rózia.

Doroto, stara jesteście, więc doświadczona, powiedzcie otwarcie, czy Jaś Kachnie szczerze w oczy patrzy?

Dorota.

Widzę, jaszczurki lęgną ci się w mózgu! Myślisz, że jej nie kocha? A pocóżby nie? Dobra, piękna i bogata z niej dziewczyna.

Rózia.

Bogata... prawda, ale są od niej piękniejsze! (Na stronie.) Zwierciadło w komorze mówi: "Róziu, tyś ładniejsza!"

Dorota.

Nie wiem, czy na jakim dachu siedzi piękniejszy gołąb od Kachny.

Rózia.

W niedzielę przy tańcu nakładają mi chłopcy pochwał pełne uszy, tak, że cały tydzień pamiętać muszę, Doroteńko kochana; ale nie mówcie tego nikomu, że jam... (śmieje się) najśliczniejsza z całej wioski!

Dorota z przekąsem.

Jakaś to pyszna z swojej urody! Podobne głupstwa tylko też chłopcy nagadać ci mogą, bo pod czupryną nie mają jeszcze mózgu twardego — tylko galaretę!

Rózia.

Galaretę? co to galaretę?

Dorota.

Powiem ci, posłuchaj: Jako dziewczyna sługiwałam po dworach i widziałam, jak kucharz przyrządzał wino i szczupaka w galarecie. Galareta to takie trzęsawisko; jak się poruszy, to drży (trzęsie Rózią.) tak, jakby twoje tłuste liczko.

Rózia.

Aj! aj! już spamiętam dobrze, — galareta szczupak w trzęsawisku; ale, Doroteńko kochana, doktór nam tłomaczył kiedyś, jak

brat na zapalenie mózgu chorował, że mózg nie jest twardy tylko miękki, a i gęś, owca i cielę ma miękki mózg.

Dorota.

Co tam doktorzy; oni więcej mówią, niż umieją. Gęś, owca i cielę może mieć mózg w galarecie, ale człowiek powinien mieć mózg jędrny! Skoro i ty Róziu, nabędziesz rozumu twardego, to lepiej mi się podobać będziesz, bo dziś mnie, starej i doświadczonej kobiecie, wcale do serca nie przemawiasz!

Rózia urażona.

Ho, ho!

Dorota.

Wiem co kwiat, a co zielsko; kwiat wsadzę do szklanki i postawię na stół ku ozdobie, a zielsko.... rzucę w kąt! **(na stronie.)** Tom jej dała, ale ładny z niej nicpoń.

Rózia złośliwie.

Szkoda wielka, że wam się, **Doroteńko,** nie udałam **(rusza ramionami.)**; a **możeby** mi się na co i przydało...?!

Dorota.

Dlaczego nie? Nie obrażaj się; jeszcze nikogo nie powiesili, ani nie udusili! Nie gardź zwiędłą gałązką, bo jak świeżej nie będzie, wydobędziesz ją z kąta!

Rózia zagniewana.

Zwiędłych liści i starych rupieci nie lubię, wyrzucam zaraz na śmieci!

Dorota.

Języczkiem zamiatać umiesz. Powiem ci na ucho **(mówi Rózi do ucha, ta się cofa.)** **że... że...** że i ty będziesz starym rupieciem! Lecz cicho, ani słowa więcej! Idą goście Jakóba, dziwy sobie o nas pomyślą. **(Stają na uboczu.)**

SCENA II.

Też same, Jakób, Stanisław, Kachna, Jan, — włościanie i włościanki wchodzą z lewej str. **Jakób** staje pośród włościan, przy nim Stanisław, Kachna i Jan.

Doczekałem się dziś wielkiej pociechy, moi kumowie, bo zaręczyn mojej Kachny! Chodź, córko moja, **(Całuje Kachnę w głowę)** i ty, mój Janie. **(Wkłada im pierścienie.)** Kochajcie się dziatki tak, jak i my kochaliśmy się z twoją matką, Kachno z ukochaną moją nieboszczką Anulką.

Stanisław całuje Jana i Kachnę.

Niech wam Bóg błogosławi! Ale... cóż

to? Twarze wasze smutne... dziś, przy zaręczynach?

Kachna.

Jam szczęśliwa w duszy mojej, (ciszej) kocham Janka!

Jan.

A ja ciebie, moja Kachno!

Jakób.

Słowem się nie rozweselimy; miodu, piwa dajcie, Doroto, a zawołajcie Mośka i innego żydka, niech zagrają krakowiaka.

Dorota.

Idę, idę. (odchodzi w lewo.)

Jakób.

A Franek gdzie?

Kachna.

Nie widać go od rana. (na stronie.) Dlaczego on smutny?

Jakób na stronie.

Biedny Franek, żal mi go, ucieka dziś od nas, unika nas... straszny ból w jego sercu gości! Cóż ja zrobię? Udaję, że nie widzę tego.

Rózia.

Widziałam Franka dziś rano w kościele, a później pod lasem. (do Kachny.) A wiesz

dlaczego on smutny i dlaczego się dziś tak modlił?

Kachna.

Może mu się coś niedobrego śniło, albo ma złe przeczucie.

Rózia (śmieje się.)

Ha, ha, ha! (cicho do Kachny.) Bo ciebie kocha, a ty obchodzisz dziś zrękowiny z innym!

Kachna przestraszona.

Cicho, Róziu! zdawało ci się...

Rózia.

Mam dobre oczy.

Kachna na stronie.

Biedny, biedny Franek!

SCENA III.

Ciż prócz Doroty, Mosiek i żyd muzykant wchodzą z lewej strony.

Żyd muzykant.

Już biegnimy, już lecimy zagrać panom.

Mosiek.

A mazury, krakowiaki takie piękne, że palce nie będą chcieli ziemi tykać, a pięty na jablonie skoczą! aj! aj! Nu, para mloda, nie-

chaj Mosiek powinszuje: "Żebyś kwitla i rosla jak zlota pszenica na zagonie!"

Kachna.

Dziękuję ci Mośku!

Jakób.

Zagrajcie teraz wesoło, ażeby we wszystkie serca wstąpiła otucha.

(Żydzi grają krakowiaka, reszta staje parami, Jan z Kachną przodują.)

ŚPIEW No. I.

Krakowiak.

Jak na drzewie jabłko
Słońce zaczerwieni,
Tak dziś pierścień złoty
Kachnę nam rumieni.
Oj dana, oj dana,
Żyj, Kachno kochana!
Oj dana itd.
(Tańczą.)

Ptaszek zaświergoce,
Gniazdko gdy buduje,
Janek też radosny,
Kachnę swą miłuje!
Oj dany, oj dany,
Żyj, Janie kochany!
Oj dany itd.
(Tańczą.)

Kwiaty rosną w niebo,
Słońce je ogrzewa,
Naszem słońcem miłość
Niechaj każdy śpiewa.
Oj dana, oj dana,
Miłości kochana!
Oj dana, itd.
(Tańczą.)

SCENA IV.

Ciż i Dorota z dzbankiem i kubkami.

Jakób.

Nalejcie, Doroto. (Dorota podaje kubek Jakóbowi.) W twoje ręce, Stanisławie, stary kumie; niech nam żyją nasze dziatki! (Pije, Dorota nalewa i podaje.)

Wszyscy.

Niech żyją!

Stanisław pije.

Ja do ciebie miła Kachno.

Kachna pije.

W usta twoje, drogi Janie.

Jan.

Niech żyje Dorota, co miód nawarzyła! A wieczerza będzie dobra, co Dorota?

Dorota.

Oj, doskonała! Baranina ze śliwkami, a słodko przyprawna, bo ojciec Jakób cukru nie żałował; dalej ryż z rodzynkami, a tego tak wiele, jak much, co naszły w garnek z miodem; a potem jeszcze gęś pieczona, placek jaki pulchny!

Wszyscy.

Niech żyje Dorota! Dobrze gnatki parzy!

Dorota.

Nie mnie z tego chwała, że dobrze zjecie, to sprawka ojca Jakóba; jemu zagrajcie Mośku, a dam wam wódki.

(Żydzi grają dalej krakowiaka, reszta śpiewa.)

ŚPIEW No. Ia.

Jako księżyc jasny
Swoim blaskiem świeci,
Jakób, cnotą sławny
Miłość pracy nieci.
Oj dana, oj dana,
Praco ukochana!
Oj dana, itd.

Jakób.

Bóg zapłać za piosnki, należy wam się teraz nagroda za trudy. Chodźmy spróbować przechwalonych potraw naszego kucharza, Doroty.

Dorota.

Proszę, **(prowadzi wszystkich na lewo)** wszystko smaczne i kruche, gęś jabłkami wypchana, a kapusta jaki kwasik ma przyjemny! **(wychodzą)**

SCENA V.

Franek sam, wchodzi po chwili środkiem.

Franek.

Poszli... lepiej mi będzie tu bez muzyki. Zdala słyszałem gwar i śpiew... i było mi smutno, oj bardzo smutno! **(Po chwili.)** Mój Boże, jam inaczej marzył... **(siada przy stole i podpiera ręką głowę.)** Kachno, gdyś była maleńką dzieweczką, a ja chłopakiem sporym, pomagałem ci nieraz przebywać rowy, wdrapywać się na góry; szukaliśmy razem kluczyków i fijołków. Zmęczeni spoczywaliśmy na trawie, ty wesoła, szczebiotliwa, jak ptaszyna, jam smętny u nóg twoich. Patrzyłem to w oczy twoje, to na fijołki; twoje oczy były piękniejsze! — Kachno, nieraz zerwałaś pokrzywę i rzuciłaś ją w twarz moją, aby mnie rozweselić; pokrzywy były wtedy dla mnie najpiękniejszemi kwiatami, boś ty mi je dała!

(Po chwili.) Gdy ojciec twój mnie łajał, tyś mnie broniła i zasłaniała od kary... Kachno, czy nigdy w twej miłej główce ta myśl nie zawitała, że może... może mnie lubisz choć trochę? **(Rozpaczliwie.)** Boże! dziś twe zaręczyny! — Ojciec ciebie dla Jana przeznaczył; mówiłaś, że go sobie sama wybrałaś, że go kochasz... myślałem, że mi serce pęknie w tej chwili... **(Wstaje odchodzi.)** Nie mogę dziś patrzeć na ojca Jakóba... **(Z naciskiem)** Jam niewdzięczny! On mnie, sierotę, przytulił do swego ogniska, gdy matka biedna odumarła... a ja? Za chleb jego łaskawy płacę mu żalem!... Na łożu śmierci mówiła matula: “Synu, ty biednym i samotnym zostajesz wśród ludzi, cokolwiek będziesz miał, będzie z ich łaski. Pamiętaj im odpłacać szczerą pracą i kochać ich za to.” **(Po chwili.)** Przebacz, matko, już ci nie przerwę spokoju w grobie... będę i nadal pracował pilnie Jakóbowi. **(Siada.)** Czasami tylko pójdę poskarżyć się tym ptakom i lasom, które mnie tak często widywały z Kachną. Powiem im, żem ubogi... że nie śmiałem powiedzieć Kachnie że ją kochałem... kocham... Może piosnki ptasząt do snu mnie ukołyszą... choćby do snu wiecznego.

SCENA VI.

Franek, Dorota.

Dorota wbiega, nie widząc Franka.

Gdzie ten Franek? Rozumiem jego sieroctwo, jego ból.

Franek wstaje.

Jam tu, Doroto; mówiliście, że mnie rozumiecie?

Dorota.

Tak, mój synu, bom ja też sierota.

Franek.

Bóg wam zapłać za to, że nieraz osładzaliście mi sieroctwo, chociaż... jam niegodny serc waszych!

Dorota.

Co ty pleciesz! Jeszcze nikogo nie powiesili, ani nie udusili! Niema lepszego chłopca nad ciebie, Franku. **(Siada.)** Gdy mnie stary ojciec Jakób przed ośmiu laty przytulił do swej chaty, po śmierci męża, mego poczciwego Marcina, jako wdowę i schorowaną kobietę, gdy mnie wypielęgnowała Kachna i ty, mój Franku, poznałam od razu, jakie zacne dusze mieszkają pod tym dachem!

Franek.

Ale mnie do nich nie zaliczajcie.

Dorota.

Ciekawa jestem dlaczego?

Franek z boleścią.

Bo jestem niewdzięczny! Nie mogę się dziś cieszyć szczęściem Kachny... nie mogę dziś patrzeć na ojca Jakóba!

Dorota.

Biedny chłopcze, rozumiem cię... to nie niewdzięczność, Franku, Bóg cię pocieszy!

Franek.

Nie mogę żądać cudów od Boga dla siebie, małego robaczka!

Dorota.

Wszystko w Jego ręku! Ale zwalcz się, synu mój; człowiek dużo z siebie zrobić może, a ty masz duszę hartowną jak stal!

Franek.

Napróżno, Doroto, pragnę zapomnieć o wszystkiem, lecz nieszczęsne marzenia powracają i prześladują mnie dniem i nocą. Nic nie wydrze Kachny z serca mego!

Dorota.

Kochaj ją jak siostrę.

Franek.

Za mało, Doroto, kocham ją jak anioła, bo nieraz była stróżem moim, gdy źli ludzie

do grzechu mnie wiedli... jej niewinna twarzyczka odpędzała wszelkie pokusy!

Dorota.

Szanuj ją jak drogi sercu obraz, lecz zwróć się do innej. Przypatrz się Rózi, jaka ładna i wesoła!

Franek.

Rózia?... Nigdy!

Dorota.

Dlaczego?

Franek.

Rózia niknie przy blasku cnót Kachny. Dziewczę wtedy najpiękniejsze, gdy w swej niewinności rumieni się jak wiśnia.

Dorota.

Kachna wzorem jest skromności, Rózia próżna i za śmiała. (**Na stronie.**) Jaki to dobry chłopiec, choć młody, cnotę ocenić potrafi. (**Głośno.**) Franku, żal mi cię tu smutnego zostawić. Chodź z nami zjeść wieczerzę i rozweselić się miodem; chodź, bo ja pójść muszę, ojciec Jakób lada chwili mnie zawoła.

Franek.

Zostawcie mnie Doroto; tu mi najlepiej... ale o jedno was proszę.

Dorota.

O co, mój serdeczny chłopcze?

Franek.

Nie mówcie do nikogo o naszej rozmowie, nie powiadajcie ludziom, że kocham ją jak szalony! **(Ukrywa twarz w dłoniach.)**

Dorota.

Franku... Franku!

Franek.

Boże! nie opuszczaj mnie!

(Słychać wołanie Jakóba za sceną: Doroto, Doroto!)

Dorota.

Już odejść muszę; wołają mnie, Franku, otrząśnij się z żalu.

Franek.

Pomódlcie się za mnie, Doroto.

Dorota.

Dobrze, poczciwy chłopcze, ale i ty musisz być szczęśliwym jeszcze! **(Wychodzi na lewo.)**

SCENA VII.

Franek, później **Rózia i Jan.**

Franek.

Szczęśliwym! ja? Nigdy, bo jestem sierotą! Chociaż ludzie godni przygarneli, to sierotą zostanę... Ojczyzną moją i szczęściem mojem nie ziemia — **(wskazując w górę)** lecz niebo! **(Usuwa się w głąb okna.)**

(Rózia wchodzi szybko środkiem, za nią Jan, idą na przód sceny nie widząc Franka.)

Rózia.

Janie, idź do swej Kachny, masz jej pierścień na palcu; nie prześladuj mnie!

Jan.

Róziu, Róziu, słóweczko! Wiesz, że cię kocham nadewszystko!

Franek z oburzeniem na stronie.

Co słyszę?! I takiego człowieka Kachna kocha?

Rózia.

Te same przysięgi Kachnie składałeś, a teraz śmiesz je mnie powstarzać?!

Jan.

Ojciec mnie zmusza... Kachny kochać nie mogę... tyś jedyna mojem słońcem! Róziu...

Rózia przerywając.

Podłym jesteś, bo chociaż jej nie kochasz, to żenić się z nią chcesz dla pieniędzy!

Jan.

Zrozumiej mnie, Róziu: ojciec każe, ja muszę!

Rózia.

Ty niedołężny człowieku, pozwalasz się prowadzić na łańcuchu i okłamujesz ludzi!

Jan.

Widzisz, że jestem nieszczęśliwy... więc mnie pociesz i kochaj!

Rózia.

Tak, chciałbyś pobawić się ze mną, a żenić z Kachną... dziękuję! (**Tupie nogą i odchodzi w lewo.**)

Jan błagalnie.

Rózieczko, tak zagniewaną nie oddalaj się (**odchodzi za nią.**)

Franek z oburzeniem.

Krew mi się ścina w żyłach, gdy widzę Jana! To ma być mąż dla mojej ukochanej Kachny, to ma być opiekun mego najdroższego skarbu?! (**Po chwili.**) Nie, na to nie pozwolę! Pójdę do Jakóba... wyznam jak ojcu.

Nie, nie mogę tego uczynić... odczekam, lecz idę ich śledzić. Nie... i to niegodne, nie zrobię tego: Boże, Boże, dopomóż mi, strzeż mojej Kachny! A ty, łotrze, przysięgam, odpowiesz mi za każdą krzywdę Kachnie wyrządzoną! (**Wybiega środkiem.**)

SCENA VIII.

Jakób i Stanisław wychodzą z lewej strony z kubkami miodu.

Jakób.

Pij Stanisławie, leniwy dziś jesteś do dzbana, jakby w nim trucizna była, a to miodek wyśmienity!

Stanisław.

Piję dużo, serdeczny kumie, ale więcej cieszy się me serce z tego, że z Jana i Kachny będzie para, a śliczna para!

Jakób.

Co prawda, to prawda, że dobrą będzie miał żonę. Nie chwalę jej dlatego, że jest córką moją ale należy jej się sprawiedliwe ocenienie za jej pracę, skrzętność, skromność, troskliwość dla ojca i biednych.

Stanisław.

Oj to, to, to, ale i mój chłopak pracowity i oszczędny.

Jakób.

Bogu dzięki za to; nie będą mieli biedy. Pracowałeś ty na Jana, ja na moją Kachnę; owoce dwojga spracowanych rąk będą złączone. Kiedy już tak mówimy otwarcie, to powiem szczerze co Kachnie dam w posagu; — Krówki cztery na pięć łóżek pościeli, a złotych 10,000 pod poduszkę. Po mojej śmierci może więcej, chatę sprzedam, co mi już teraz po niej?

Stanisław na stronie.

Ślicznie, ślicznie, Jaś będzie bogaty! Dobrze szukał! (głośno.) Znanym zawsze byłeś z pracy nasz kochany Jakóbie, widzę, Bóg ci też pobłogosławił.

SCENA IX.

Ciż sami i Kachna.

Kachna wbiega z lewej zadyszana.

Oj tatulu, wesoło tańcujemy, już tchu... mi... nie staje...

Jakób.

Dobrze dziewczę moje, bądź mi zawsze tak swobodną, jak w tej chwili.

Kachna.

Wszystkie dziewczęta wesołe, parobcy śpiewają i tańczą, tylko Rózia jakaś zadąsana, a Franka to już wcale nie widać!

Jakób.

Franek musi być chory... niepokoi mnie, niechżeż go poszukają... Wyciągnij go do tańca.

Kachna.

Jana wyślę po niego.

Stanisław.

A Jaś, tańczy żwawo?

Kachna smutnie.

Oddala się od nas, tańczy mało, często wychodzi do sadu, nie wiem, czy chory... może go głowa boli?

Stanisław.

Zagadał się z kimś, pójdę zobaczyć. (odchodzi w głąb.)

SCENA X.

Jakób i Kachna, później Dorota i włościanki.

Jakób.

Powiedz mi szczerze, córko moja, czy szczęśliwy to dzionek dziś dla ciebie?

Kachna.

O, szczęśliwy! Dziś czerwieńsza dla mnie wiśnia, dziś jaskrawsze dla mnie słońce, ta izba weselsza, bo kocham szczerze mego Jana, bo wiem, że już do mnie należeć będzie!

Jakób.

A dziś zrana smętna byłaś?

Kachna.

Bo myślałam o tem, że wkrótce was opuścić muszę... a wy jesteście starzy, tatulu, skołatani, potrzebujecie opieki. Ktoby wam gotował, ktoby was oprał, łóżko posłał? Ale wiem, będziecie u waszj Kachny, tatulu, czy tak? **(Całuje Jakóba.)**

Jakób.

Niech ci Bóg błogosławi za twe serce! Nie opuści cię twój stary ojciec, będzie czuwał i nadal przy tobie.

Kachna.

O, teraz już jestem prawdziwie szczęśliwą, bo będę miała ojca i Janka pod jednym dachem!

Jakób.

Cieszy mnie twój uśmiech, lecz chciałbym, żeby i drudzy to twoje szczęście odczuli.

Kachna.

Janek dziś nie swój, może za wiele ludzi wokoło nas, — gdy tak sobie sami gawędzimy, jest serdeczny.

Jakób.

Ale Franek dziś mi się nie podoba.

Kachna z współczuciem.

Oczy jego pełne łez... sama nie wiem, dlaczego mi go tak żal?

Jakób.

Bo przeczuwasz, że dusza jego cierpi; a godzi się mieć z nim współczucie, bo to uczciwy chłopiec, czysty jak łza w swych chęciach i zamiarach. Przypatrywałem mu się nieraz, wstręt czuje do wszystkiego, co złe i podłe.

Kachna.

Tak chwalicie, tatulu, Franka, że mnie zazdrość bierze o Jasia, a przecież kocham Janka.

Jakób.

Dlatego, że ty go wybrałaś i kochasz — i on stanie się dobrym; dziś jeszcze trochę młody, lecz ty go zmienisz, moja Kachno.

Kachna smutnie, z wyrzutem.

Tatulu, wy więcej kochacie Franka!

Jakób.

Bo go znam od dziecka.

Kachna całując Jakóba.

Nie, tatulu, wy więcej musicie kochać Jasia, bo on będzie mężem waszej Kachny!

Jakób.

Zależeć to będzie od twego szczęścia. **Dorota** wchodzi z lewej str. z włościankami.

Kachno, chodź, pomóż nam rozweselić Franka; wyciągnijmy go do tańca, bo usiadł w kącie i ma straszną minę.

Jakób.

Chodźmy wszyscy go rozruszać. **(Wychodzą na lewo.)**

SCENA XI.

Stanisław i Jan wchodzą środkiem.

Stanisław.

Biegasz jak opętaniec za Rózią! Pamiętaj, że ludzie mają oczy, że mają język, by ciebie przed Kachną obmówić.

Jan.

Ho, ho, Kasia zanadto mnie kocha; ludzkie gadanie nic nie pomoże.

Stanisław.

O taką żonę nie tak łatwo! Pięć łóżek pościeli, cztery krowy, 10,000 złotych pod poduszką... mówił stary!

Jan podskakuje.

10,000! Oj nasza!

Stanisław.

Ciesz się, bo będzie wam dobrze, ale ostrożnie z Rózią i z Dorotą — i z Frankiem, bo on dziś po kątach się kryje i ma dzikie oczy!

Jan śmiejąc się.

Ha, ha ha... (ze wzgardą) to głupiec! Do nikogo słowa nie mówi.

Stanisław.

Tyś głupcem, bo nie widzisz, co się wokoło ciebie dzieje.

Jan.

A co ojciec widzi?

Stanisław.

Że Franek dziś łzy leje, bo kocha Kachnę.

Jan.

On? Ha, ha, ha, sierota taki... nie jest niebezpieczny; Kachna bogata, nie wyjdzie za wychowanka.

Stanisław.

Chociaż Kachna za niego nie wyjdzie, ale on ciebie dla niej pilnować będzie, czy rozumiesz teraz?

Jan.

Tak źle nie będzie, chodźmy lepiej potańcować, szkoda czasu!

Stanisław.

Słuchaj uważniej, ty zawsze masz młyny w głowie!

Jan.

A no... bo nudno... czy jeszcze co?

Stanisław.

Szanuj Jakóba, bądź serdeczny dla niego, bo Kachna bardzo ojca kocha.

(Mosiek wchodzi środkiem, zostaje w głębi i słucha.)

Jan szarpie się.

I to mam czynić i tamto robić, sam już nie wiem co?...! Jeszcze i staremu nadskakiwać!

Stanisław.

Wolałbyś bawić się z Rózią! nie zrobisz tego, rozumiesz?

Jan.

Ojciec zawiele żąda!

Stanisław.

A chcesz mieć posagu 10,000?

Jan.

Naturalnie!

Stanisław.

Głupcze, więc pilnuj swego szczęścia, bo samo ono do ciebie nie przyjdzie.

SCENA XII.

Ciż i Mosiek.

Mosiek zbliża się do nich.

Szukam was, a wy tu! Dlaczego nie tańczy Jan? Mloda stoi smutna, to trzeba z nią potańcować, trzeba się umizgać.

Jan.

I wy, Mośku, o kochaniu prawicie?

Mosiek.

Jakże nie kochać i nie umizgać się do takiego kwiatu?... dziewczyna jak świeca!

Jan śmiejąc się.

Może taka łojowa, jaką w szabas palicie?

Mosiek.

Lojowa, czy nie lojowa, ale fajn panna podobna do mojej Sary!

Jan.

Zwaryowaliście, Mośku, czy co?

Mosiek.

Ne teraz, ne, ale jak Sara byla mloda, byla ona fajn panna, mówię wam. Byla szeroka w plecach jak stodola, (**pokazuje rękoma**) a w pasie cienka jak śledź wimoczone. Ale i ja bylem galentny; dygnęlem w prawo, (**dyga**) dygnęlem w lewo, nie tak jak wy, Janie, stoicie jak pal, jak drąg! Klaniejcie się więcej. (**Kłania się.**) Patrzcie, uczcie się odemnie klaniać.

Jan naśladuje go i śmieje się.

Ha, ha, ha! pocieszny jesteście, Mośku.

Stanisław.

Prawdę mówi Mosiek, za mało starasz się podobać Kachnie.

Mosiek.

Pamiętajcie, Janie, że Stanislaw, wasz ojciec, obiecal Mośkowi 100 zlotych, jak was

wyswata z Kachną! Rozumiecie teraz? Jak będziecie glupstwa broili, a mlodej nie popilnujecie, to wam 10,000 zlotych fiut! (**przejeżdża ręką pod nosem.**) A Mośkowi 100 zlotych fiut! Pamiętajcie! Sara dla bachorów chce mieć te 100 zlotych i musi mieć, bo obiecaliście, a ja wam wierzę. Idźcie teraz pobawić się z mlodą. (**Do ucha Janowi.**) Ne gońcie za Rózią, bo ma czary w oczach! Ostrożnie, ludzie was widzieli.

(Jan i Stanisław wychodzą w lewo.)

SCENA XIII.

Mosiek, później **Franek.**

Mosiek.

Glupi ten Jan, ja to dawno mówil. Stanislaw glupi, że taki bachor wychowal; jabym mu dal, gdyby mnie nie sluchal ten mój bachor, albo mnie nie szanowal! Jan... to ne mąż dla Kachny — nic ne wart! Mosiek powiedzialby wszystko Jakóbowi, bo to dobry chlop i dziewczyna dobra, ale Mośkowi żal 100 zlotych. Sara ich chce i musi mieć!

Franek wchodzi środkiem.

Nie mogę znaleść cichego kąta — wszędzie pełno ludzi, tu znów żyd natrętny!

Mosiek spostrzegając Franka.

A, a... Franek! Co wy taki kwaśny? poco? Dziś zrękowiny, weselić się trzeba... hulać!

Franek.

Wiecie dobrze, że jam do hulanki nie stworzony.

Boś ty nigdy nie próbowal! Spróbuj, a powiesz, że to dobre, że smakowalo!

Franek.

Nie trudźcie się Mośku, wasze słowa nic nie pomogą.

Mosiek.

Dlaczego ne pomogą? Bo ne sluchacie, a ja wam mówil dawno: Na robaka kropnijcie wódki raz i dwa... i trzy... a zobaczycie, że wam milo będzie na sercu i na żołądku (gładzi się po brzuchu.)

Franek z przekąsem.

Tak, kropnijcie wódki i przepijcie to, co zarabiacie, a zbogacajcie Mośka!

Mosiek.

Czy to źle? Wam będzie lżej na żołądku i na sercu, a Mosiek zarobi. A czy ja ne mam bachorów, co jeść chcą? Mosiek biedny żyd!

Franek.

Chciałbym mieć te pieniądze, które posiadacie, a nie byłoby mi dziś tak smutno na sercu... inaczej postąpiłbym sobie... Mośku, Mośku, wy strasznie chciwi na grosz... duszę zatracilibyście dla złotówki!

Mosiek.

Poco duszę? Dusza niech będzie duszą sobie, a zlotówka może przynieść dwę i trzy zlotówki.

Franek.

A może i dziesięć?!

Trochę wydrzeć, to nic, to ne zabije, to jeszcze ludzi uczy krzątać się. Można gę' trochę podskubać, ona jednak gęsią zostanie rozumiecie, Franku! Alboż i wy ne macie pieniędzy? Jakób da, on was kocha, a wy napijcie się wódki i lżej wam będzie. Wiem ja, co wam potrzeba; na ten ból to wódka najlepsza. Chodźcie, chodźcie ze mną. (Ciągnie Franka ku drzwiom.)

Franek ostro.

Nie ruszę się stąd!

Mosiek.

Chodźcie, dam wam wódki darmo; powiem, gdzie ladna i bogata dziewczyna.

Franek z gniewem.

Żydzie, uchodź, pókiś cały!

Mosiek potulnie.

Ne gniewajcie się, Franku, wy szalony dziś! Nu, nu, idę już, idę — tamten się zmęczyl, to ja pójdę grać. **(Wychodzi na lewo.)**

SCENA XIV.

Franek, później **Jan**.

Franek.

To żmija — nie żyd! Ile razy mnie widzi, tyle razy do kieliszka namawia... Nie raz w strasznym bólu byłbym już uległ, ale ten krzyżyk, tu na piersiach zawieszony ręką matki, **(całuje krzyżyk.)** broni mnie od złego i to czyste spojrzenie mojej Kachny! **(Po chwili.)** Ciężki to dzień dla mnie, lecz jednę mam pociechę, że stary Jakób kłopotliwie dziś na mnie spogląda, a Kasi oczy, gdy spotkają się z mojemi, wzbierają łzami. Może ona mnie choć trochę kocha?

Jan wchodzi środkiem podchmielony i nie spostrzega Franka.

Głupia sprawa dwom się umizgać, jednem okiem strzelam w prawo, drugiem w lewo! Tamta bogata, ta milsza, bo figlarna jak kot-

ka... Stary trąca mnie, Mosiek kiwa z daleka, by się umizgać do Kachny. Jakób jakiś kwaśny, a Franek... niby ryś spogląda z podełba. Głupio mi tu w tej niewoli! Gdyby nie te 10,-000 złotych, rzuciłbym wszystko i poszedł z Rózią w świat! **(Spostrzega się.)** Miód mi zaszumiał w głowie; co myślę, mówię głośno, a tu może kto słucha?! **(Ogląda się.)**

Franek.

Że słucha, to słucha i cieszy się, że mu Bóg dał sposobność poznania ciebie! **(Wstaje i zbliża się do Jana.)**

Jan przelękniony.)

To ty tutaj? **(Na stronie.)** Boję się go, tak strasznie patrzy!

Franek z oburzeniem.

Dziś już parę razy byłem świadkiem twoich podłych słów, byłem świadkiem twoich przysiąg, składanych Rózi, byłem świadkiem twoich kłamst, wypowiedzianych Kachnie! Kłamcą i oszustem jesteś! łotrem! Pamiętaj, dlatego, że Kachna cię kocha, milczeć będę o wszystkiem, ale przysięgnij, **(z naciskiem)** że ją szanować będziesz, ją tylko jedną kochać, że Rózię na zawsze porzucisz! Przysięgnij! **(Bierze Jana za kołnierz i rzuca**

na klęczki.) Przysięgnij! bo inaczej za jedną łzę Kachny jak psu w łeb wypalę!

Jan trzęsie się z obawy.

Frącku, przysięgam... jeno nie zabijaj!

Koniec aktu I.

AKT II.

(Izba Jakóba, jak w akcie I.)

SCENA I.

Kachna sama, siedzi po prawej stronie i przędzie.

Oj, będziesz już moim, miły Janku! Jak to błogo będzie w naszej chacie, czyściutko i ładnie: izba starannie wymieciona, stoły pięknie zmyte, firanki białe jak śnieg, łyżki świecące, jak srebrne. Chlebek jasny upiekę dla naszego tatula, a czasami i placek w niedzielę. **(Po chwili.)** W święta przyjdą sąsiadki cieszyć się naszem szczęściem... Suknia moja będzie zawsze skromna, lecz chędoga, obiad krótki, ale smaczny i kraśny. **(Wstaje i uderza w dłonie.)** Oj, oj, tak nam miło będzie pracować razem!

SCENA II.

Kachna i Franek.

Franek wchodzi środkiem z listami.

Przyniosłem listy z miasta. **(Kładzie listy na stół i chce odchodzić.)**

Kachna.

Zostań, Franku, nie uciekaj, dawniej tak lubiłeś ze mną porozmawiać, a teraz unikasz mnie. Powinieneś się cieszyć z szczęścia mojego! Pierścień mam na palcu, będę miała własny domek, męża, który mnie będzie kochał.

Franek powtarza w zamyśleniu.

Który mnie będzie kochał... **(Spostrzega się)** Tak, prawda, powinienem się cieszyć z twojego szczęścia, Kachno... wiesz, że ci dobrze życzę!

Kachna.

Wiem, mój Franku, wdzięczna ci też będę całe życie za to, że mnie broniłeś zawsze od złego! Tyś uczciwy, dobry chłopiec, ale bądź weselszym.

Franek na stronie.

Boże!

Kachna na stronie.

Smutek jego serce mi przeszywa! (**Bierze rękę Franka.**) Tyś chory pewnie? Uciekasz od ludzi, gwar cię męczy, co ci dolega? (**Puszcza rękę Franka.**)

Franek.

Zdrów jestem z łaski Boga. (**Po chwili**) Sierocie nie wolno chorować, jam stworzony do pracy.

Kachna z boleścią i wyrzutem.

Dlaczego to? Wszakże nie daliśmy ci uczuć twego sieroctwa? Franku, wszakże my wszyscy pracujemy i Bóg nas na to stworzył?

Franek.

Źle się wyraziłem, Kachno, daruj — (**na stronie.**) Sam nie wiem co mówię, patrząc na nią, rozum tracę! (**głośno.**) Kachno, jam wiele winien ojcu Jakóbowi i tobie... wdzięczność dla was zachowam do grobu i poniosę ją tam, (**pokazuje w niebo.**) do Stwórcy! Ale...

Kachna.

Ale... dokończ, nie urywaj, a lżej ci będzie.

Franek.

Ale to sieroctwo moje nieraz mi jest cię-

żarem strasznym! i... dlatego na nie wymyślam!

Kachna.

Użal mi się tak zawsze; wiesz, Franku, że cię kocham jak brata!

Franek powtarza smutnie na str.

Jak brata!

Kachna.

Chowaliśmy się razem od maleńkich dzieci; powinieneś mieć zaufanie do mnie jak do siostry.

Franek z smutkiem.

Jak do siostry... Boże!

Kachna.

Dawniej powiadałeś mi wszystko, co ci dolega, co cię niepokoi, o czem myślisz — pamiętasz? A teraz chodzisz ponury, milczący, zamknięty w sobie.

Franek.

Nie zawsze można być otwartym... jakiś ból krępuje serce i usta... (**Nieznacznie ociera łzy.**)

ŚPIEW No. II.

Chodzę smutny i ponury,
Patrząc z łzami w jasne chmury,
Bo gdzie dla nas pomoc z nieba,
Tam myśl wznosić ciągle trzeba:

Milczeć tylko serce może,
W Tobie ulgi szukać, Boże!
Kornie schylić muszę czoła,
Gdzie mnie wola Twoja woła:

Kochać — cierpieć — los okrutny,
Wzrok mój zatem łzami smutny,
Lecz gdy Kachnie dobrze będzie,
W pracy ulgę znajdę wszędzie.

Praca trzeźwi, wzmacnia siły,
Z nią i przykry dzień nam miły,
Chroni ludzi od rozpaczy
I spokojem duszę raczy.

SCENA III.

Ciż sami i Dorota.

Dorota wchodzi środkiem.

Co za wiele, to nie zdrowo! Przyszłam do was, by sobie ulżyć i wam wygadać, co to ludzie za podłe plotki o tych zaręczynach wymyślili!

Kachna.

Doroto, nie opowiadajcie nic złego, jam dziś taka wesoła!

Franek.

Nie mówcie, Doroto; Kachna taka szczęśliwa!

Dorota.

No, no, ptaszki, nic takiego, jeszcze nikogo nie powiesili, ani nie udusili! At sobie gadają, aby gadać, że Jaś ledwie rozumu nie stracił, jak się dowiedział, że dostanie posagu 10,000 złotych.

Franek tupiąc nogą.

Doroto!

Dorota.

Ale cóż się tak srożysz? Toć nikogo jeszcze nie powiesili ani nie udusili?! Gadają tak sobie, że Jan tylko pieniądze kocha, a oczkiem strzela do Rózi...

Franek zasłaniając jej usta.

Jako żyw, to nie prawda! (Do Doroty.) Milczcie na Boga!

Kachna smutnie.

Boże, mój Boże... może ci ludzie i prawdę mówią?!... (Na stronie.) W niedzielę widziałam, że Jan więcej z Rózią tańczył niż ze mną!

Dorota do Franka.

Czego się tak boisz? Ona go jednak nie opuści, — chociaż to — (kręci głową) niedo-

bry chłopiec! (głośno.) Ale obrzydłe te ozory ludzkie, a stare kumoszki to już najgorsze! Choćby im człowiek i usta zamurował, toby uszami gadały!

Kachna.

Kto ci o tem powiadał, Doroto?

Franek.

Nie pytaj się, Kachno; ludzie muszą zawsze coś powiedzieć, nie psuj sobie szczęścia, to tylko zadrość!

Dorota.

Zazdrość, nie zazdrość!

Kachna.

Tak wesoło dziś słonko wzeszło i mnie tak było dobrze na świecie... a teraz... (**Siada zasmucona i głowę chowa w dłonie.**)

Franek z żalem.

Doroto, to wasza wina, nie wydzierajcie ludziom spokoju!

Dorota.

Alboż Kachnie co zrobiłam?

Franek.

Jedno nieuważne słowo może być trucizną dla bliźniego!

Dorota trącając Kachnę.

Kachno, nie trzeba tego sobie tak brać do serca, dzieciak jeszcze z ciebie! Czy nie wiesz, że ludzie bez plotek żyć nie mogą?! (**Kachna wstaje.**)

SCENA IV.

Ciż sami i Jakób.

Jakób wchodzi z lewej strony.

I o czem sobie gwarzycie? Czy zaszło co? Twarze wasze poważne i smutne!

Dorota.

Plociuchy mają zawsze stare kumy!

Franek.

Nic to, ojcze Jakóbie, nie warto o tem mówić, ale przyniosłem listy z poczty. (**Podaje Jakóbowi listy.**)

Dorota na stronie.

Jakiś list z sądu, bo wielki. Te listy nic dobrego nie przynoszą, zawsze ich się obawiam.

Jakób otwiera list, czyta po cichu i drżącym mówi głosem.

Boże!... Kachno... jesteśmy ubodzy! (Chwieje się.) Słabo mi... wody! Boże! (Pada na krzesło, Kachna, Dorota, Franek podtrzymują go przestraszeni.)

Kachna pada przy Jakóbie na kolana.

Na Boga! tatulu, co wam? Czy jesteście chorzy? Jezu! Jezu!

Franek.

Wody! (Wybiega.)

Dorota.

A Jezusieńku! co wam, ojcze Jakóbie?

Franek niosąc wodę.

Tu jest woda.

Kachna podaje Jakóbowi wodę.

Pijcie, czy wam lepiej?

Dorota.

Nie pytaj się, Kachno, mówienie męczy, tu odpoczynku trzeba. (Do Franka.) Mówił, że są ubodzy, co to znaczy?

Franek do Doroty.

Alboż ja wiem! (Do Jakóba.) Może się położycie, ojcze?

Jakób słabym głosem.

Nie... dziatki... to... przejdzie... Bóg mnie wzmocni!

Franek.

Oby wam jak najprędzej dodał siły! (Do Kachny.) Nie lękaj się, Kachno, to tylko słabość chwilowa.

Dorota na stronie.

Straszny cios go spotkał; coby to być mogło? Czy kto umarł, czy proces przegrał? (Do Jakóba.) Zapomnijcie, ojcze Jakóbie, o wszytkiem! Pierwsze zdrowie, a macie dla kogo żyć i oszczędzać się.

Jakób.

Prawdę mówicie, Doroto, jam potrzebny mojej Kachnie.

Franek chyli się do nóg Jakóba.

Ojcze Jakóbie, i mnie dopomagajcie radą jak najdłuższe lata — jam sierota!

Jakób.

I tobie, Franku, — i tobie, chętnie bardzo, jeżeli to cenić potrafisz. (Całuje Franka w głowę.)

Franek.

Wiecie, że was kocham jak ojca!

Dorota staje przy oknie.

Nie rozczulajcie ojca Jakóba; trzeba go rozweselać. — (Patrzy przez okno.) W sam czas idą goście do was, Stanisław i Jan, może wam pociechę i ulgę przyniosą.

Jakób.

Boże, mój Boże!

Kachna.

Uspokójcie się, tatulu.

Franek.

Bóg nad nami!

Jakób.

Prawdę mówisz, — dobry z ciebie chłopiec. Ufajmy w miłosierdzie Pana! ....

SCENA V.

Ciż sami, Stanisław i Jan.

Stanisław i Jan.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Jakób.

Na wieki!

Kachna.

Witajcie do nas!

Jan.

Jak się masz, miła Kachno? (Podają sobie ręce.)

Kachna.

Dobrze, Janku, ale ojciec nam zasłabł...

Stanisław.

A cóż wam to Jakóbie?

Jakób.

Zgryzota! złe nowiny, przyjacielu, — zubożeliśmy w jedną godzinę!

Stanisław przerażony.

Cóż to znaczy?

Jan.

Nie rozumiem!

Jakób.

Wiedzieliście od dawna, że niemiecki graf mnie procesował o ten kawałek chleba, który dzierżę z łaski Boga, procesował i wygrał. Cieszyliśmy się, że już sprawa skończona, że śmiało zaciągnąć mogę dług i dać Kachnie 10,000 złotych posagu, — a wtem... do wyższego sądu zaniósł graf skargę... i przegraliśmy!

Stanisław z boleścią.

Chryste!

Jan ze złością.

To szkaradnie! (Kachna płacze.)

Dorota.

To niesprawiedliwie!

Jakób.

Graf pieniądzmi świadków sobie kupił, bo od dawna zawiść w sercu nosi do mojej rodziny.

Dorota.

Czy mogą być ludzie tak podli? Czemże wytłomaczą przed Bogiem to krzywoprzysięstwo?

Franek.

Czem odpłacą te krzywdy bliźnim wyrządzone?

Kachna.

Czem nagrodzą ten ból i łzy nieszczęśliwych?

Jakób.

Niestety są takie podłe dusze, które nie pomyślą nawet o karze, ani o nagrodzie po śmierci bo za mało cenią i znają sprawiedliwość Boga!

Kachna płacze.

Mój Boże, mój Boże... i cóż z nami się stanie?!

Jakób kładzie rękę na głowę Kachny.

Nie płacz, Kachno moja, to wola Boża; podobało się Bogu nas zasmucić — niech imię Jego będzie błogosławione! Masz zdrowe ręce, dziecko moje, pracowitą jesteś; nie będzie ci źle na świecie — ojciec i twój Jaś cię nie opuszczą!

Franek,

A jeżeli wszyscy o nas zapomną — Bóg będzie nam ojcem!

Stanisław cicho do Jana.

Ho,... ho,... to źle się dzieje!

Jan cicho do Stanisława.

Przepadło w grunt piekła 10,000 złotych!

Dorota.

Jakoś buzi nie macie, Janie, by Kachnę pocieszyć!

Jan.

A cóż jej poradzę?

Stanisław.

A cóż ma mówić?

Jakób.

Nie swarzcie się... smutku i tak dosyć! Chodźcie, Stanisławie, do sadu, (Jakób wy-

prowadza Stanisława) pod jabłoń; może tam jaką radę wymyślimy. (Stanisław i Jakób wychodzą środkiem.)

SCENA VI.

Ciż, prócz Stanisława i Jakóba.

(Dorota rozmawia z Frankiem w głębi sceny, przy oknie Jan i Kachna)

Kachna z żalem.

Janku... tyś smutny, czy dlatego, że jestem ubogą?

Jan.

Eh!... gdzie tam!

Kachna.

Mam oczy zdrowe, ręce silne, będę ci szczerze pracowała. Bóg dopomoże, Janku!

Jan.

Pocóż sobie głowę łamać? Będzie rada!

Kachna.

Janku, spojrzyj mi w oczy.

Dlaczego?

Kachna.

Dlaczego?... Janku, twe serce mi dziś kłamie!

Jan.

Przez łzy patrzysz, nie widzisz dobrze.

Kachna.

O widzę... widzę...

Jan patrząc w okno, na stronie.

Jaka śliczna! Co za oczy!

Kachna.

Co tobie? Tak się czerwienisz... (patrząc w okono, n. str.) Rózię widzi. Boże!

Jan odprowadza Kachnę od okna.

Chodź, Kachno, pójdziemy do sadu, dziś dzień prześliczny; tam są i nasi ojcowie, porozmawiamy razem.

Kachna smutnie.

Idę... idę... (Wychodzą środkiem.)

SCENA VII.

Dorota i Franek zbliżają się do widzów rozmawiając.

Dorota z przekąsem.

A co, Franku, widziałeś, jak posmutnieli? Czuły to oblubieniec i kochany przyszły teściulek!

Franek.

Doroto, to są źli ludzie!

Dorota.

Dawno jam to w uszy kładła Jakóbowi, a cóż? Starej nikt nie wierzy. Każdy mówi: stara plotki lubi! No, no, no, zobaczymy, czy to plotki... (**Po chwili.**) Biedna Kachno, ciebie mi żal, twego szczerego serca, które tak wiernie przylgnęło do Jana... Biedna ptaszyna, odboli to niemało!

Franek.

A może też Pan Bóg to na dobre wykieruje? Jan nie wart Kachny!

Dorota.

Alboż ci to sama nie mówiłam? Mojej głowy nikt nie przeprze! Niema złego, któreby na dobre nie wyszło, a niezawsze to szczęściem, co nam się szczęściem zdaje. Pamiętam dobrze, lat temu dziesięć i my z Marcinem, Panie świeć jego duszy, ponieśliśmy wielkie straty przez pożar. Co to było lamentu, rwania włosów i głębokiej troski! Podupadliśmy zupełnie, nie było na potrzeby konieczne, a cóż dopiero na bułki i wódkę! I cóż się stało? Mój Marcin, który dawniej lu-

bił zaglądać do kieliszka, zaczął teraz gorliwie pracować, odzwyczaił się od trunków, stając się porządnym człowiekiem. Nasza strata więc, nasz ból na dobre nam wyszły! I tu tak być może — ale gadu, gadu, a tu czas krówki doić. (**Odchodzi w lewo.**)

Franek.

Pójdę i ja konie napaść, trzeba pracą ojcu Jakóbowi dopomagać — niczem innem nie mogę... O, czemuż ja ubogim?! (**Odchodzi za Dorotą.**)

SCENA VIII.

Mosiek, później **Rózia.**

Mosiek wchodząc zwolna środkiem.

Nikogo ne ma, a to co? (**Woła.**) Doroto! Doroto! Czycho... nycz... pewnie są przy robocie; a chciałbym chętnie z Jakóbem pogadać, ile on to Kachnie posagu da, chciałbym każdy grosz dokładnie obliczyć, bo Stanislaw obiecał procent. Sara chce, Sara musi mieć! Jan musial mi przyrzec więcej... glupi chlopak, kiedy obiecal, niech da! Mosiek weźmie i schowa, bo on jednak zmarnuje... glupiec! Ale czycho, ktoś idzie.

Rózia wchodzi ostrożnie środkiem.

A... to wy tu, Mośku!

Mosiek.

A co panna Rózia myszlala? Nie ja, czy kot, czy co?

Rózia.

Myślałam, myślałam, że wilk!

Mosiek.

Wilk? A czy ja do wilka podobny?

Rózia.

Czasami.

Mosiek.

Jakto? Wilk ma zielone oczy, a ja mam fajn czarne! Dlaczego ja do wilka podobny?

Rózia.

Bo wilk jest drapieżne zwierzę.

Mosiek.

A czy ja drapieżne zwierzę? Ne mam przecież lap zakrzywionych, a czy ja kogo zjadl, a co ja zrobil?

Rózia.

Co zrobił? Wy sami najlepiej wiecie. Ludzi nieraz namawiacie do wódki, do sprzedaży chaty, zboża, sukmany i zarabiacie grubo...

to tak, jak gdybyście byli wilkiem, co ludziom krzywdę wyrządza!

Mosiek obrażony.

Co panna Rózia gada? Niech panna Rózia czycho będzie, to ne trzeba tak mówić, to obraza, do kozy za to można iść!

Rózia śmieje się.

Jakto mi wygraża! Mośku, Rózia się kozy nie boi!

Mosiek.

Ja nyc złego ne robil — to ne prawda!

Rózia na stronie.

Nie może się uspokoić — w samo jądro trafiłam; dobrze mu, poco ludzi do złego prowadzi!

Mosiek.

Jak panna Rózia będzie tak gadać, to chlopcy ne będą kochać, bo oni ne lubią takiego mądrowania, a panna Rózia będzie musiała starego Mośka kochać!

Rózia śmieje się.

Ha, ha, ha, dobrze, Mośku, ale musicie codziennie się umyć i brodę zgolić!

Mosiek.

Brody Mosiek nie zgolić bo Sara lubi brodę, a myć... poco? Brrr... zymno, Mosiek ne lubi wody, mówią, rozum zmywa, a Mosiek musi być mądry! Jabym panie Róży dal do kochania ladniejszego chlopca.

Rózia z ciekawością.

A którego?

Mosiek.

Ale ne będzie panna Róża gadać, że ja wilk? Bo, bo...

Rózia.

Nie, już nie powiem; a jakiego macie dla mnie chłopca?

Mosiek.

Tu blizko jest, ladny — dobry!

Rózia.

Franek! Co wam to do głowy przychodzi! Frankowi jeszcze nigdy ożenek w głowie nie zaświtał!

Mosiek.

A dlaczego?

Rózia.

To dzieciak jeszcze.

Mosiek.

Ladne dziecko, ma dwadzieścia i parę lat! Mnie panna Róża ne wyprowadzi w pole, wiem ja dlaczego, ale na to jest rada: pięknie mu w oczy patrzeć, to i zapomni o tamtej! Stary Mosiek wie co to znaczy pięknie patrzeć, co to za sila w ladnych ślipkach, a panna Róża ma oczy jak błyskawice!

Rózia śmieje się.

Ha, ha, ha, uciekajcie, Mośku bo z tej błyskawicy wypadnie piorun i jeszcze was zabije!

Mosiek cofa się w głąb.

Nu nu, już idę — niechno panna Róża pamięta o Franku, a ne mówi na Mośka "wilk", to pannie Róży dobrze z tem będzie! (Odchodzi środkiem.)

SCENA IX.

Rózia sama, po chwili.

Co to za przebiegły żyd! Nie oderwiesz mnie od Jana, nie, nie! Wiem, że ci Stanisław procent od posagu Kachny obiecał... wiem, ale nie zobaczysz go, Mośku... nie...

nie... bo z tej mąki chleba nie będzie! Ale gdzież oni są wszyscy? Chciałam się dowiedzieć, co tu się dzieje i czy Kachna bardzo zajęta Jasiem. (**Idzie do okna.**) A... są w ogrodzie, przynajmniej stąd im się przypatrzę. (**Po chwili.**) Kachna płacze, Jaś kwaśny, Jakób i Stanisław przepierają się. (**Po chwili**) Nie wiem, co mnie za siła ciągnie do Jana? I żegnam się krzyżem świętym i modliwę mówię, a co ciągnie, to ciągnie... Jezus! Marya! czy zły duch?! (**Po chwili**) Serce mi mówi, że Jaś moim będzie! Ale cóż na to powie wieś cała? Co na to powie sumienie? Odmówiłaś oblubieńca Kachnie, poswarzyłaś kumów... ksiądz proboszcz nie da rozgrzeszenia! — A nie pragnij tego, uczyli nas, co nie twoje: ani żony, ani wołu, ani osła. (**Po chwili.**) Cóż mi ta Kachna zrobiła, że jej taką krzywdę chcę wyrządzić? Wszak ona Janka bardzo kocha będzie nieszczęśliwa... hm... hm... to prawda, trzeba się poprawić. Pójdę się pomodlić do figury, może złe myśli mnie opuszczą. (**Po chwili z radością.**) Zobaczył mnie Jan w oknie, jak się ślicznie uśmiechnął! (**Chwyta się za serce.**) Jasiu, Jasiu, ja cię jednak kocham!

ŚPIEW No. III.

Niech nas i kilka zwiąże pierścieni,
Serce z niewoli jednak ucieczel
Wróci, gdzie miłość szczera promieni,
Chociaż swe szczęście nieraz odwlecze.

Jakiż okropny przymus synowi,
Gdy tak rodzica wola go gniecie;
Ciężkim wyrzutem kiedyś odpowie,
Jeśli przykrości walką nie zmiecie.

Szczęście to nasze w chacie ubogiej
Wtedy zabłyśnie jasno i szczerze,
Gdy je ogrzewa cierpła dłoń drogiej,
Gdy się z miłości dwoje pobierze.

Zasłona spada. — Koniec aktu II.

AKT III.

(Scena przedstawia sad Jakóba: po lewej stronie w głębi widać chatę, przed nią ustawiony warsztat ciesielski, ławka pod drzewem po prawej stronie.)

SCENA I.

Jakób i **Franek** obrabiają drzewo przy warsztacie.

Jakób.

Szczerze dla nas pracujesz, Franku, zaledwie świtało, już byłeś przy warsztacie.

Franek.

Jedyny to sposób żeby wam wdzięczność swoją okazać, ojcze Jakóbie.

Jakób.

Nie chcę tego i nie żądam, mój synu, abyś dla nas swe siły stargał; za gorliwym jesteś przy pracy!

Franek.

Co ludzie zabrali, ludzie wypracować muszą, żeby się szkoda powróciła.

Jakób smutnie.

Już to dla nas raj stracony! Tę chatę i tę czarną glebę opuścić musimy! **(Po chwili)** Wynajmę izbę u kuma i zapracuję na chleb rzemiosłem, a może Pan Bóg nam pobłogosławi.

Franek.

Śniło mi się dzisiaj, że byliście bogatym, ojcze Jakóbie, a mnie wielkie szczęście spotkało... mówiła mi o tem we śnie nieboszczka matka.

Jakób.

Dałby Bóg, żeby się twoje sny sprawdziły, żeby nam weselej było w chacie, bo teraz biedna moja Kachna płacze i płacze... **(Po chwili.)** Żal mi dziecka, ale nie żal takiego zięcia.

Franek z oburzeniem.)

O, ten niegodziwiec, jak mógł porzucić Kachnę dla jej ubóstwa?!

Jakób.

Prawda, Franku, aleć dobrze, jeżeli tamtę kocha, że się i z nią żeni, to i naszej Kachnie z tem lepiej.

Franek z uczuciem.

Kachna kochała szczerze Jana; to boli, ojcze, jak serce nie odpowiada sercu!

Jakób.

Dziwnie mówisz — tak, jakbyś doświadczał tego, mój Franku; sądzę, że ciebie wszyscy kochają i kochać muszą!

Franek.

Miłość miłości nie równa; inaczej czasem dusza pragnie.

Jakób.

I to prawda, miłość Kachny była niewinna i szczera, Jasia udawana, obłudna.

Franek.

Podobno już jutro zrękowiny Jasia z Różią?

Jakób.

Co, już jutro?

Franek.
Tak słyszałem.

Jakób.
Nie mów tego Kachnie.

Franek.
Dorota wypaplała; już wie o tem biedactwo.

Jakób.
Dobra kobiecina ta nasza Dorota ale język u niej na trzy mile! (Zdala widać Dorote.) Otóż i ona.

SCENA II.

Ciż i Dorota.

Dorota.
Boże pomagaj!

Jakób i Franęk.
Bóg zapłać.

Dorota.
Zapracujecie się ojcze Jakóbie; to nie na wasze stare lata.

Jakób.
Staremu praca przystoi ale długi język,

to nie. Pocóż było powiadać Kachnie, że jutro zrękowiny Jana?

Dorota·

No, no, czy to co złego? Jeszcze nikogo nie powiesili ani nie udusili! Lepiej że o tem wie zawczasu, bo i w tej oto chwili byłaby się dowiedziała.

Jakób.
A to skąd?

Dorota.

Bo widzicie, kumie, sumienie ich ruszyło: poszli do kościoła, proboszcz nie chce dać rozgrzeszenia, mają się wpierw z Kachną i wami pogodzić i was przeprosić. Przyszli tu, ale stoją za sadem, bo się wstydzą.

Franek na stronie.

Teraz się wstydzi — a nie wstydził się kłamać sercem Kachnie!

Dorota.

Franku, idź do chaty, bo przy tobie nie przeproszą; a zawołaj Kachny, ja pobiegnę po nich. (Franek wchodzi do chaty, Dorota wychodzi środkiem.)

SCENA III.

Jakób, później **Kachna**.

Jakób siada pod drzewem na ławce.

I cóż teraz będzie z Kachny mojej? Zadręczy się bólem, zmarnieje — jej serce za tkliwe, za poważne — niestety! kochała Jana! (**Po chwili.**) I jakież biedny ojciec leki na to wymyśli? Starzy mówią: klin klinem wybić. Prawda, ale jak tu sobie poradzić? Bieda każe nam pracować, żeby zarobić trochę grosza na chleb powszedni — nie możemy teraz myśleć o swatach. Zresztą — któż weźmie biedną i wzgardzoną dziewczynę? Ale... jest Bóg nad sierotą i wskaże mi godnego zięcia, który ją oceni i pokocha, a ze mną ubóstwo podzieli!

Kachna wychodzi z chaty smętna.

Tatulo mnie woła?

Jakób zbliżając się do niej i biorąc ją za rękę.

Córko moja, rozjaśnij czoło. Ciesz się, że ci, którzy twemu sercu kłamali, opuścili cię na zawsze, bo nigdy nie byłabyś z nimi szczęśliwą. Szukaj tych, co cię kochają, a są tak blizko ciebie. Tamtym przebacz, bo my wszyscy ułomni ludzie, bo to bliźni twoi, a bliźniego kochać mamy, jak siebie.

Kachna.

Nie złorzeczę im — ale serce mnie boli. (**Kachna płacze, zdala widać Dorotę, Rózię i Jana. Kachna spostrzega ich i tuli się do Jakóba.**) Boże! oni!

Jakób.

Idą cię przeprosić; ułatwiaj im, bo łatwiej przebaczać, niż przepraszać.

SCENA IV.

..**Ciż, Dorota, Rózia i Jan** zbliżają się do Kachny.

Dorota.

Kachno, Rózia i Jan proszą, abyś im przebaczyła; jutro ich zaręczyny.

Jan.

Przebacz, Kachno!

Rózia przystępuje do Kachny i wyciąga do niej rękę.

Nie gniewaj się, Kachno; jam walczyła z sobą, lecz coś mnie parło do Jana!

Jan.

A mnie do Rózi.

Kachna drżącym głosem, podając rękę Rózi.

Niech Bóg wam tak przebaczy — jak ja przebaczam — niech wam błogosławi!

Jakób podnosi ręce w górę.

Niech wam błogosławi!

Kachna podając rękę Janowi.

Idźcie z Bogiem! (**Jan i Rózia wychodzą w milczeniu**).

SCENA V.

Jakób, Kachna i Dorota.

(Kachna siada na ławce i pochyla głowę.)

Dorota obejmuje Kachnę.

Kachno, dobry z ciebie dzieciak! O, będziesz ty bardzo bardzo jeszcze szczęśliwą. Bóg ci wszystko nagrodzi.

Jakób.

Tak i moje serce mówi. Pójdziesz i ty wkrótce z wianeczkiem do ołtarza ale przysięgniesz chłopcu tak dobremu jak ty sama.

Kachna z wyrzutem wstaje.

Tatulu, co mówicie?

Dorota.

Choćby ja się domyśliła.

Jakób.

Doroto, Doroto, wasz języczek.

Dorota.

No, no, jeszcze nikogo nie powiesili, ani nie udusili! Cicho już będę pójdę sobie.

Jakób.

Nie, Doroto, zostaniecie teraz przy Kachnie, bo mnie woła pilna sprawa. (**Odchodzi do chaty.**)

SCENA VI.

Dorota i Kachna.

Kachna.

Jam wiele przeżyła w tym czasie, Doroto.

Dorota siadając przy Kachnie.

Za czułą, za dobrą jesteś, Kachno; ktoby to dla chłopca płakał? Mój Jezu, gdym była młodą, codzień był inny! Tańczyło się, śmiało i gadało z nimi, ale płakać dla nich? Poco? A ciebie, Kachno, jeszcze wszyscy tak kochają.

Kachna.

Ale jam kochała jednego!

Dorota.

Jednego, jednego, eh! co tam jednego! Wiem jeszcze o jednym którego może więcej kochasz niż Jana.

Kachna z zdumieniem.

Więcej niż Janka?

Dorota.

Nie pytałaś się pewnie jeszcze serca twego, Kachno, a Franek? Ten serdeczny chłopiec?

Kachna.

Franek?

Dorota.

Zwróć myśli twoje w dziecięce lata: pamiętasz, Kachno, jak Franek wspólnie się z tobą bawił? Jaki był cierpliwy, uważny, jak cię bronił i strzegł?

Kachna.

Pamiętam.

Dorota.

Przypomnij sobie całe jego postępowanie, co za dusza w tym człowieku, jak on ciebie wiernie kocha od dziecka! Przypomnij sobie.

Kachna.

W pamięci stają te chwile wyraźnie, tak to były błogie chwile niewinnych dzieci.

Dorota

Uważaj, co się dzieje teraz. Widziałam, jak płakał na twych zaręczynach, a i dziś, ile razy na cię spojrzy, łzą mu oko zachodzi. Kachno, powiedz, co nosisz w sercu dla tego dobrego chłopca?

Kachna.

Wdzięczność.

Dorota

Wdzięczność — i nic więcej? Nie wierzę!

Kachna.

Doroto, Doroto, za wiele żądacie.

Dorota

Spojrzyj Frankowi w oczy, Kachno, a sobie głęboko w serce, a zrozumiecie się. To niepodobno, żeby tak szlachetne dusze do siebie należeć nie miały! (**Po chwili.**) Kachno, wierz mi, Bóg wie, co robi; Opatrzność Boża nad losem twoim czuwa, abyś nie wpadła w szpony drapieżnego ptaka.

Kachna.

Co mówicie, Doroto? Przecież Janek...

Dorota przerywa.

Cicho, duszko moja, nie broń go, ale kochaj Franka. Tak dziwnie na mnie patrzysz, Kachno, nie lękaj się, jam stara, znam serca ludzkie. Jan troszkę ci w głowie zakręcił, ale to tylko na krótko. Nie byłabyś z nim szczęśliwą, za prędko poznałabyś jego błędy. Dla twej duszy potrzeba duszy czystej jak kryształ. Rozważ sobie wszystko, Kachno, ale też rozważ; ja pójść muszę do gospodarstwa. **(Dorota odchodzi.)**

SCENA VII.

Kachna, później **Mosiek**.

Kachna.

Rozważać mam... poco? Widzę teraz wszytko trzeźwo i jasno. Dużo prawdy zawierają słowa Doroty. — Poznaję dziś, że miłość moja do Jana, to była tylko chwilowym szałem, czuję, że ta miłość stygnie; że mnie coś od niego odpycha. Franek? Boże, on dobry, on bardzo dobry, ale im się wszystkim tylko zdaje, że mnie tak gorąco kocha! Wszakby mi to teraz powiedział, widząc moje nieszczęście, gdyby mnie rzeczywiście kochał? Widzę go tylko smutnym i milczącym. A może przypuszcza, że go nienawidzę? Lecz porzućmy te myśli, one nam siłę i spokój odbierają, a jedno i drugie nam potrzebne do pracy dla chleba. Trzeba pomyśleć o zarobku, by ojcu przysporzyć, a nie być mu ciężarem. Biedny tatulo, cóż on zrobi? Słaby, stary, skołatany, nie wytrzyma długo przy rzemiośle. Muszę sama radzić o ojcu i o sobie, nie pozwolę mu na starość tak ciężko pracować, nie, nie.

Mosiek wchodząc z prawej strony.

Ojciec w domu, panno Kachno?

Kachna.

Jest w domu, Mośku.

Mosiek.

Smutna jakoś panna Kachna, poco? Nie żałować chlopca, tego chwastu dosyć na całym świecie, nie żałować, bo wszędzie on rośnie.

Kachna.

Nie mówmy o tem, Mośku, lepiej doradźcie mi służbę dobrą, żebym ojcu dopomódz mogła.

Mosiek.

Służbę? poco? Szkoda panny Kachny; ja żyd, ale ja lubię Kachnę, bo uczciwa panna, jabym dal posadę ojcu.

Kachna zdumiona.

Wy Mośku?

Mosiek.

Nu, i co za dziwy? To już Mosiek nycz, to już Mosiek na calej kuli ziemskiej nycz nie znaczy? Zobaczy panna Kachna, (**bierze się pod boki.**) ho, ho, ho, Mosiek ma slawę!

Kachna.

Nie gniewajcie się Mośku, może macie posadę, wierzę wam.

Mosiek.

Mam i dam ją ojcu, ale trzeba zaplacić; a ne wiecie wy, panno Kachno, czy ojciec ma wiele pieniędzy?

Kachna.

Skądżeż ma mieć pieniądze, jeżeli mu wszystko zabiorą? Gotówki ojciec nie ma; chciał dług zaciągnąć na chatę i glebę, by mi dać posag.

Mosiek.

To źle, bez pieniędzy to nycz. (Na stronie.) Mosiek musi zarobić, Sara chce, bachur potrzebuje. Ona pewnie ne wie, bo mloda jeszcze z niej gąska; przyjdzie stary to pogadamy.

Kachna.

I gdzież jest ta posada?

To się ne powiada, bo sprawa się popsuje, Mosiek sam wie i będzie bużę czycho trzymal.

SCENA VIII.

Ciż, Jakób i Franek.

Jakób wychodzi z chaty, rozmawiając z Frankiem.

Widzisz, mój synu, to lepiej jak najprędzej, bo człowiek się łudzi niepotrzebnie i jest

jak ptak na wylocie; a tak, wyniesiemy się i zaczniemy rzemiosło prowadzić.

Franek.

Żal mi tej chaty, bo była świadkiem dziecięcych lat moich, lecz wy najlepiej wiecie, ojcze Jakóbie, co czynić wypada.

Mosiek.

A co wy chcieliście robić, ojciec Jakób?

Jakób.

Iść na komorne do większej wioski i tam zarobiać rzemiosłem.

Mosiek.

Za lichy chleb, wy już do tego za stary.

Jakób.

Franek mi dopomoże.

Kachna.

I ja przecież, tatulu. Pójdę w służbę, Mosiek wystara mi się o dobre miejsce.

Franek.

Kachno!!!

Jakób.

Co mówisz? Dziecko złote i ty chcesz opuścić ojca na stare lata?

Kachna.

Tylko dlatego, tatulu, żeby wam dopomódz. Wszyscy nie możemy być razem, bo

na to dziś nie mamy. Dorota słaba i stara, jej potrzeba, aby przy was została; ona mnie zastąpi. Serce mnie boli, lecz pójść muszę, żeby wam pomódz, tatulu!

Franek.

Dniem i nocą pracować będę, lecz nie opuszczaj nas Kachno, bo słońce zagaśnie w chacie naszej!

Jakób.

Pamiętaj, Kachno, co ci Franek powiedział; odgadł on myśl twego ojca.

Mosiek.

Ne chodzić w służbę, ale kupy się trzymać i gniazda ojcowskiego. Ojciec Jakób ja mam dla was posadę.

Jakób z radością.

Co mówisz? jaką?

Mosiek.

Pewien Pan bogaty, który ma fabrykę, zawołal mnie i powiedzial: "Mosiek, w tygodniu wystarasz mi się o uczciwego czlowieka na dozórcę przy mojej fabryce; dostanie 300 rubli pensyi i zboża tyle, ile potrzebuje na utrzymanie rodziny. Może mieć nawet liczną rodzinę, byle byl uczciwy i mnie ne kradl". Tak mówil ten pan, a że wy, ojciec Jakób, czlowiek porządny, to ja wam chcę to dać.

Jakób.

Dziękuję wam, Mośku, dobre mącie serce.

Mosiek skrobie się w głowę.

Ale jabym też chcial co zarobić; wy wiecie, Jakóbie, że Sara chce, że bachur potrzebuje, Mosiek musi zarobić.

Jakób.

Niestety nic nie posiadam, Bóg mi świadkiem!

Franek.

A ilechcecie, Mośku?

Mosiek.

Bardzo malo — sto rubli.

Franek ze zdumieniem.

Aż sto rubli?!

Jakób.

Mośku, przecież my teraz jesteśmy zupełnie biedni.

Franek n. str.

Siedmdziesiąt rubli mam — przyniosę i rzucę żydowi! Boże, radź mi, co uczynić z resztą? **(Biegnie do chaty.)**

SCENA IX.

Jakób, Kachna, Mosiek, Dorota wchodzi głębią, później **Franek.**

Kachna prosząc.

Mośku, dobry Mośku, dajcie tatuli tę posadę; pójdę w służbę, to wam oddam później te sto rubli.

Mosiek.

Posada będzie zaraz, to i sto rubli musi być zaraz. Mosiek potrzebuje, musi kupić towaru do karczmy, musi zaplacić dzierżawę.

Franek wraca z woreczkiem pieniędzy.

Mośku, zaoszczędziłem sobie 70 rubli, oto je macie, lecz dajcie tę posadę ojcu Jakóbowi.

Jakób powstrzymuje Franka.

Synu mój, co chcesz czynić?!

Kachna.

Franku, jakiś ty dobry!

Mosiek.

Nu, dobrze, dam posadę, ale dajcie jeszcze i tę resztę, inaczej ne mogę, ne, ne mogę!

Franek.

Jak tylko ojciec Jakób będzie na posadzie to, Mośku, odsłużę resztę.

Jakób przerażony.

Jakto?

Mosiek.

Jakto wy myślicie, Franek?

Franek.

Prosta rzecz: zawsze macie na karczmie kogoś do pomocy, pójdę do was służyć za te 30 rubli.

Jakób i Kachna.

Franku!

Mosiek.

Nu, to dobrze, wyście dobry chlopak, ja was biorę, zgoda.

Jakób z wzruszeniem.

Synu mój, tej ofiary od ciebie przyjąć nie mogę!

Kachna.

Franku, jakiś ty zacny!

Dorota do Kachny.

Czy poznajesz teraz, Kachno, co złoto prawdziwe?

Kachna.

Nie zawstydzajcie mnie, Doroto!

Franek z uczuciem.

Ojcze Jakóbie, winienem wam całe moje wychowanie, winieniem wam tyle szczęśli-

wych chwil w życiu, przyjmijcie więc tę małą ofiarę.

Jakób przyciska Franka do serca.

Synu mój, ani jednej ani drugiej ofiary od ciebie przyjąć nie mogę! Tyś pracował, oszczędzał, wszystkiego sobie odmawiał, by nazbierać trochę grosza, a ja miałbym ci zburzyć całą twoją nadzieję na przyszłość?!

Franek pochyla się do nóg Jakóba.

Ale ja was błagam o to, ojcze Jakóbie! Jeżeli nie macie względu na me szczere prośby, miejcie wzgląd na waszą Kachnę!

Dorota

Mam i ja trochę grosza; te 30 rubli dam wam, Mośku, za Jakóba, a Franek niech będzie wolnym! A wy, ojcze Jakóbie, przyjmijcie tę pożyczkę od Franka, pamiętajcie o waszych starych latach.

Mosiek.

Zgoda! posada jutro będzie napewno.

Jakób.

Poczciwa Doroto i ty, mój Franku, chodźcie do mnie; piersi moje nie pomieszczą chyba tych uczuć, które mną owładnęły. Bóg wszechmogący niech wam płaci! **(Podaje im ręce i osłabiony siada na ławce.)**

Dorota

Nie wzruszajcie się tak, ojcze Jakóbie, to zdrowiu szkodzi. Wszak my rozumiemy was kochamy i wdzięczność wam winniśmy, Franek i ja!

Jakób.

Doroto, do śmierci zostańcie pod moim dachem; zastąpcie matkę mej Kachnie! **(Dorota płacze.)** Franku, nie mam słów dla ciebie! **(Z wielkiem wzruszeniem.)** Tobie inna należy się nagroda... Kachno, chodź do nas; **(Kachna zbliża się.)** przekonałaś się, jaką zacną duszę ma Franek, przekonałaś się jak cię kocha... przyjmij go za męża!

Franek z radością.

Boże!

Kachna z wzruszeniem.

Tatulu!

Jakób.

Najlepszego przyjaciela daje ci ojciec!

Franek.

Kachno, słówko jedno!

Kachna podaje mu obie ręce.

Jam twoja!

Franek.

Boże, dzięki Ci! **(Przyciska Kachnę ręce do piersi.)**

Mosiek z wzruszeniem n. str.

Co to za dobrzy ludzie! Co to za godne serca! A ojciec Jakób to tak, jak nasz stary patryarcha Jakób. (głośno.) Nu, nu i Mosiek ne z kamienia i Mosiek ma serce — ne chcę sto rubli za posadę. Nu, dajcie tylko pięćdziesiąt — nu niech, mniej ne można, bo Sara chce, bo bachor chce!

Jakób.

Niech ci Bóg nagrodzi, Mośku! A wy Kachno i Franku, dziękujcie Opatrzności Boskiej, że temi drogami was wiodła, bo ojcowskie moje serce szczęście wam wróży!

ŚPIEW No. IV.

Gdy zatli miłość w sercu człowieka,
Niech losy swoje Bogu powierzy,
Z gorącą wiarą ufa i czeka,
Aż ziemskie szczęście Stwórca wymierzy.

Odziewa lilię szatą śnieżystą,
Przystraja trawę w zieleń majową,
Da tobie chatę ciepłą i czystą,
Lecz dziel się z Panem serca połową.

Da gniazdko ptakom, daje ziarneczko,
A słońce jasne grzeje ich dzieci;
Dziękują Bogu dźwięczną piosneczką,
Co z rana w niebo rosą uleci.

Zasłona spada.

KONIEC

W

Sk
Po

Naj

Sk

Sk

10